

PIOTR STRZEŻYSZ

NIESPEŁNIENIA



Autor: Piotr Strzeżysz

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Korekta: Iwona Szopa

Redakcja: Paulina Sweet

Projekt okładki: Jan Paluch

Fotografia na okładce: Piotr Strzeżysz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dolożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <https://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://bezdroza.pl/user/opinie/beprze>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8322-416-9

Copyright © Helion S.A., 2023

PIOTR STRZEŻYSZ

NIESPEŁNIENIA

Kup książkę

Poleć książkę

Oceń książkę



*opuściłeś mnie bez szumu
skrzydeł bez błyskawic
jak polna myszka
jak woda co wsiąkła w piach
zajęty roztargniony
nie zauważyłem twojej ucieczki
twojej nieobecności
w moim życiu*

Tadeusz Różewicz, *Bez*

[Kup książkę](#)

[Poleć książkę](#)

Wstęp

Telefon zadzwonił przed ósmą.

– Tak, oczywiście, rozumiem, dziękuję za informację. To kiedy można przyjechać? Nawet dziś? Dobrze. Dziękuję. Do piętnastej? Tak, tak, przyjadę. Jeśli nie zdążę, to dopiero we wtorek? No tak, rozumiem, oczywiście, może dziś spróbuję... Dzwonić pod ten numer? Tak, tak, dobrze. Dziękuję. Postaram się przyjechać.

Odłożyłem telefon i odsłoniłem firankę. Po trawie pod oknem biegały cztery małe kotki. Musiały się niedawno urodzić, poruszały się tak nieporadnie. Zaraz, coś miałem zrobić, co ja miałem zrobić? Wodzę wzrokiem za biało-czarnymi, dokazującymi na trawie stworkami. Ktoś wyszedł zza śmietnika, kotki czmychnęły z powrotem w stronę piwnicznego okna. To sąsiadka przysłała rozwieźć pranie na sznurkach. Macha do mnie.

– Dzień dobry! – wołam przez otwarte okno.

– Dzień dobry – odpowiada. – Mama ciągle w szpitalu?

– Tak, w szpitalu.

– Na święta nie wraca?

– Nie, nie wraca.

– Ee, szkoda, to trochę smutno będziesz miał sam siedzieć.

– Chrześniak mnie zapraszał, pewnie do niego pójde.

– To już jesteś zdrowy? Możesz wychodzić?

– Jeszcze słabo się czuję, ale kwarantanna skończyła mi się wczoraj.

– A, to dobrze, dobrze. Pozdrów mamę ode mnie. Idę pranie rozwiesić.

– Dobrze, pozdrowię – odpowiedziałem i puściłem firankę.

Właśnie, miałem opróżnić pralkę. Która godzina? Zaraz muszę iść do przychodni na pobranie krwi. Ale najpierw wyjmę ubrania. Nie, nie, zaraz, muszę pojechać do Puław, trzeba do kogoś zadzwonić. Kto by mógł mnie zawieźć? Może Krzysiek? A krew kiedy? Jak wrócę. Nie, jak wrócę, to już będzie za późno. Co jest dzisiaj? Piątek, Wielki Piątek, świetnie, zdążę wszystkich powiadomić. Gdzie jest telefon? Gdzieś był, musi gdzieś tu być, przed chwilą go używałem, pranie później, najpierw krew, ale gdzie jest telefon? O, jest.

– Krzysiek? Pojedziesz? Dobrze, to o jedenastej pod blokiem.

Ośrodek był niemal pusty. Zarejestrowałem się, miałem poczekać na korytarzu. Zza drzwi gabinetu dobiegały śmiechy, dawało się rozróżnić pojedyncze słowa, zwroty, pacjentką musiała być znajoma lekarki. Nie wiem, jak długo tak stałem, myśli gęstniały, zapadałem się w nie, trochę kręciło mi się w głowie. Pomyślałem o praniu, że jednak pójdę je rozwiesić, a badanie krwi zrobię po świętach, ale już słyszę kobiecy głos, doktorka woła mnie po imieniu, zaprasza do środka, choć równie dobrze mogło mi się to wszystko wydawać – może nikt mnie wcale nie wzywał, nikt nie powiedział ani słowa, bo gdy tylko otworzyłem drzwi i stanąłem w progu, przechwyciłem zdziwione spojrzenie, a w nim pytanie, które być może wybrzmiało, ale niekoniecznie.

– Jak mama, trochę lepiej?

– Mama umarła.

Rozdział pierwszy

Epikryza: *U07.1, J12.8 Zapalenie płuc wywołane innym wirusem. J80 Zespół ciężkiej niewydolności oddechowej u dorosłych.*

Lekarka przyszła czwartkowym popołudniem. Mijał dziesiąty dzień, odkąd mama zaczęła się źle czuć. Trzy dni wcześniej, w poniedziałek, podczas telefonicznej konsultacji oboje dostaliśmy skierowanie do Garwolina na test w kierunku obecności koronawirusa. Nie chcieliśmy jechać komunikacją publiczną, żeby nikogo po drodze nie zarazić. Poprosiliśmy więc o podwózkę syna sąsiadki, który z zagrożenia niewiele sobie robił, tym bardziej że najprawdopodobniej dwa tygodnie przed nami w miarę łagodnie przeszedł już tę chorobę. Nie zgłosił się do lekarza i nie wykonał testu, bo „nie da sobie w nosie dłubać”, więc trudno było orzec, czy na pewno był to koronawirus, ale wszystkie objawy raczej potwierdzały takie założenie. Podczas kilkuminutowej drogi do Garwolina opowiadał nam o potencjalnym uszkodzeniu śluzówki podczas badania i o pandemicznym wyolbrzymianiu problemu, czemu przysłuchiwałem się ze względnym zainteresowaniem. Nie wdawałem się w dyskusję o zasadności szczepień, nie czułem się najlepiej i chciałem, podobnie jak mama, jak najszybciej zrobić test i wrócić do domu.

Przed punktem pobrań stało już kilka osób. Dzień był pochmurny, zewsząd wionęło chłodem. Ustawiliśmy się w kolejce. Nie pamiętam, czy odzywaliśmy się do siebie, chyba niewiele. Mama jeszcze całkiem dobrze wyglądała. Była słaba, ale uśmiechała się, żartowała z jakąś kobietą, że zaraza dopadła w końcu i nas. Pobranie wymazu trwało chwilę. Niebawem byliśmy z powrotem w domu i w zasadzie od razu po przyjeździe położyliśmy się do łóżek.

Następnego dnia otrzymaliśmy wyniki – jak można było oczekiwać, oba pozytywne. Powiadomiliśmy lekarza rodzinnego, ale nie przepisano nam żadnych leków. Mieliśmy brać witaminę C i zadzwonić, gdybyśmy poczuli się gorzej. Jakby jedyną dostępną terapią było uwzględnienie nas w systemie i obdarowanie chorobową wkłepką: SARS-CoV-2. Przyjęto nas oficjalnie w poczet tych, o których codziennie trąbiły media, zasililiśmy statystyki, staliśmy się anonimowymi współtwórcami radiowych i telewizyjnych wiadomości, przy okazji przyczyniając się do pobicia dobowego rekordu zachorowań. A wirus, którego istnienie musieliśmy przyjąć na wiarę, powoli i bezkarnie zadomawiał się w naszych ciałach i siał w nich spustoszenie.

We wtorek wieczorem objawy się nasiliły: przeszywający ból mięśni i głowy, gorączka, totalna niemoc. Mamę dodatkowo męczyły wymioty i rozstrój żołądka. Zrobiłem pod wieczór obiad, ale nawet go nie tknęła. Noc była koszmarna, miałem wrażenie, że rozsądzi mi czaszkę. Zasypiałem na chwilę, by zaraz się wybudzić przez rozrywający ból głowy i mięśni.

Rankiem zadzwoniliśmy do ośrodka zdrowia. Udało się umówić na telefoniczną, popołudniową teleporadę, ale w zasadzie niepotrzebnie, bo znów nie otrzymaliśmy żadnych zaleceń, poza

tymi, które usłyszeliśmy wcześniej. Mieliśmy odpoczywać i brać witaminę C. Może przez słuchawkę nie sprawialiśmy wrażenia zbyt chorych, może niedostatecznie narzekaliśmy. A z godziny na godzinę było coraz gorzej.

Kiedy w czwartek rano, po kolejnej nieprzespanej nocy, wszedłem do pokoju mamy, przestraszyłem się. Jej oczy były puste, jakby wydrążone.

– Mamo, co Ci jest? – zapytałem.

Siedziała na łóżku i spojrzała w moją stronę, ale tak, jakby mnie tam w ogóle nie było, patrząc na przestrzał, ogniskując wzrok na czymś istniejącym jedynie w wyobraźni.

– Mamo, dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytałem ponownie, przerażony.

Milczałaś.

Też ją wtedy poczułaś? Ona już tam była, węszyła, krzątała się cicho, dyskretnie szykowała Cię do ostatniej podróży. Mnie nie dałaś się nigdy w żadną wyciągnąć, choć nie raz próbowałem, prosiłem – ale Ty w kółko się wymigiwałaś, marudziłaś. Odwlekałaś na jutro, na pojutrze, na przyszłe wakacje, na odległe „kiedyś”, wciąż znajdując nowe wymówki. W Polsce już byłaś, zarówno nad morzem, jak w górach, więc po cóż miałabyś jechać znów w to samo miejsce? Na Islandii za zimno, do Hiszpanii za daleko, w Turcji niebezpiecznie, do Tunezji też nie, bo samolotem, a Ty się boisz latać. I wszędzie za drogo.

– To gdzie? – pytałem, a Ty wciąż odmawiałaś.

– O zdrowie muszę zadbać – mówiłaś. – Podreperować się, paznokcie zrobić, schudnąć, włosy obciąć, okulary zmienić, ciuch lepszy kupić, bo inaczej wstyd się ruszać z domu, ludziom pokazać.

Może powinienem był po prostu kupić bilet, dokądkolwiek. Przyjechać i oznajmić, że jedziemy następnego dnia, wrzucić do plecaka najpotrzebniejsze rzeczy, wziąć Cię pod rękę i wyruszyć. Przecież praktykowałem to od lat. Przemieszczanie się, wyjeżdżanie, wracanie, wieczna peregrynacja, cóż prostszego niż wyjść za próg i zamknąć za sobą drzwi? Wystarczyłoby oddać nieco własnej przestrzeni, z łatwością pomieścilibyśmy się oboje, znalazłoby się miejsce i dla Ciebie. Tyle że Ty chyba wcale nie chciałaś nigdzie jechać. Doskonale czułaś się w domu. Swojsko, przytulnie, bezpiecznie. Było Ci w nim tak dobrze, jak mnie było źle. Twoja potrzeba zadomowienia stała się miarą naszego oddalenia.

– Pamiętaj, że zawsze masz tutaj dom, zawsze możesz tu przyjechać, z matką trochę pomieszkać, pobyc – mówiłaś, a ja wiedziałem, że cokolwiek się wydarzy, Ty będziesz. Zawsze będziesz, wszędzie, wyczekując mnie na progu wszystkich drzwi na świecie.

A jednak w końcu wyjechałaś, tyle że beze mnie, trochę bez uprzedzenia, i choć upłynęło już tyle czasu, wciąż mam wrażenie, że zaraz wrócisz. No bo jak to? Tak po prostu zniknęłaś? Znaczy – nigdzie Cię nie ma? Lepiej już przestań. Skończ z tymi wygłupami. Wyjdź spod łóżka albo z szafy, nie chowaj się. Oglądaj seriale, już nigdy nie skomentuję, że są głupie. Upiecz szarlotkę, nie będę marudził, że za słodka i za mało jabłek. Ugotuj obiad, zjem ze smakiem, nie będę wybrzydzał, że za tłusty. Nawet schabowego wciągnę, albo bitki, te ze środkowego schabu, wiadomo, że najlepsze, specjalnie do Garwolina po nie jeździłaś. Zadzwoń do mnie, zawsze odbiorę. Zaprosz do siebie, zaraz wsiądę w pociąg i przyjadę. Otwórz drzwi, przywitaj mnie w progu, uśmiechnij się, przytul. Pobądź ze mną jeszcze trochę.

– Jak przyjedziesz, to sobie pogadamy – mówiłaś przez telefon.

Przyjeżdżałem, ale więcej byłem sam ze sobą niż z Tobą.

– Posiedź ze mną jeszcze – powtarzałaś, szczególnie ostatnio. – Gdzie będziesz szedł, posiedź jeszcze z matką.

A ja mówiłem, że muszę robić rzeczy. Że nie mam czasu, że muszę czymś się zająć. I szedłem do drugiego pokoju, czytać, pisać, notować, przeglądać Internet w poszukiwaniu bzdur, a między nami zalegały cisza i milczenie. Zostawiałem Cię samą w kuchni albo w pokoju i tak kończyłem spotkanie, które najczęściej w ogóle się nie zaczęło, bo cóż z tego, że spaliśmy pod jednym dachem, że zdobywałem się na zwyczajowe kordialności, powiedziałem dzień dobry, dobranoc, dziękuję, skoro i tak nigdy nie miałem dla Ciebie czasu. A jeśli łaskawie poświęciłem Ci nieco uwagi, to na odwal, na moment, aby odklepać, odrobić jak zadaną pracę domową z przedmiotu bycia dobrym synem, wiedząc, że kolejne godziny mam już wyłącznie dla siebie – wystarczy tej nadmiernej troski, naddatku sympatii, udawanego zainteresowania, bezproduktywnego siedzenia, gładzenia, bo o czym jeszcze by można z Tobą porozmawiać, skoro dawno wszystko już zostało nazwane, przegadane, wypowiedziane.

A tak naprawdę nic nie zostało wypowiedziane. O ważnych rzeczach z matką się nie rozmawia. Z kumplem można, z dziewczyną, żoną, szefem, panią z warzywniaka, z kimkolwiek wreszcie, tylko nie z matką. Do matki mówi się jak do idiotki, zwraca do niej w sposób dziecinny, trywialny, małostkowy.

Tyle razy powtarzałaś, że mam Cię za głupią. Nawet gdy w dobrej wierze poważnie o coś pytałaś, o moją przyszłość, plany, marzenia, zbywałem Cię, obśmiewałem Twoje pytania, obracając je

w żart. Uśmiechałaś się wtedy i pytałaś, kiedy wreszcie dorosnę, kiedy będę odpowiedzialny. Wnuka chciałaś.

– Niedoczekanie! – odpowiadałem. Niby w żartach, ale Ciebie to przecież nie śmieszyło.

Nie podobał Ci się mój tułaczy styl życia. Moje włóczęstwo, wieczne rozkojarzenie, bałaganiarstwo, lekkoduszność, niezagrzewanie miejsca, nonszalancki stosunek do wielu wartości, które ceniłaś. Dom, rodzina, dzieci, praca, składki na ubezpieczenie, oszczędności, przedmioty, stabilizacja, bezpieczeństwo, zaplanowana przyszłość. Nie pochwalałaś mojego nieprzystosowania, nie rozumiałaś go. A przecież wiedziałaś, że ja chciałem podróżować. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze marzyłem, by jeździć rowerem po świecie. Na swoich warunkach, własnych zasadach. Bardzo wcześnie odkryłem, że nic nie daje mi takiego poczucia szczęścia, nie przepełnia takim spokojem, jak bycie w drodze... A Ty, że z tego jeżdżenia chleba nie będzie. Martwiłaś się, z czego będę żyć. Z czego utrzymam się na starość.

– Pieniądze same z nieba nie spadną – słyszałem przy najróżniejszych okazjach.

Mówiłaś tak niepoprawnie. Z błędami. Wiesz, Mamo, że czasem wstydzilem się za Ciebie, gdy ktoś z moich znajomych nas odwiedzał? Za Twój język się wstydzilem. Za swój zresztą też. Mnóstwo czasu zajęło mi, aby wyzbyć się tych naleciałości, dziwnego słownictwa, błędnych struktur gramatycznych, niepoprawnych końcówek... A dziś wstydzę się tamtego wstydu. Bo tak naprawdę, jakie to miało znaczenie? A tym bardziej, jakie ma teraz?

Dużo czasu upłynęło, zanim przestałem się czepiać. Przez lata poprawiałem te wszystkie gramatyczne twory: przyniesłam,

zanieślam, włanczam, wzięść, co tu pisze, co szukasz, aż w końcu przestało mnie to obchodzić i dałem sobie spokój. Tobie zresztą nie zależało na językowej poprawności. Tłumaczyłaś, że rozumiem, co mówisz. A skoro rozumiałem, to po co miałaś zmieniać nawyki? Zresztą, czasem specjalnie coś przekreślałaś. Odnosiłem wtedy wrażenie, że chcesz mi dogryźć, nawet jeśli nie miałaś po temu żadnego szczególnego powodu.

Może to było genetyczne, to dogryzanie. Babcia często robiła tak z Tobą.

Bardzo denerwowały Cię matczyne słowa, gdy ni z tego, ni z owego zupełnie na serio oznajmiała, że „idzie do domu”. Pod koniec życia mocno zniedołężniała, pomieszało jej się w głowie i rzeczywiście czasem nie ogarniała, że siedzi we własnym mieszkaniu i nagle (a mogło się to zdarzyć o każdej porze dnia i nocy) informowała, że wybiera się „do domu”. Rozsierdzało Cię to do czerwoności. Krzyczałaś na nią, wyzywałaś bez cienia empatii. Tłumaczyłem Ci, żebyś nie zwracała się do niej w ten sposób, bo babcia naprawdę myślała, że wpadła do nas na obiad i zaraz wróci do siebie. Podobnie jak uważałem, że nie ma sensu jej mówić, iż „Wiesiek nie żyje”, kiedy pytała, o której syn wraca z pracy. Za każdym razem, gdy to słyszała, wyglądała jakby miała się pod nią rozstąpić ziemia. Przecież w jej zapominającym zdarzenia i nieogarniającym rzeczywistości umyśle syn za każdym razem umierał po raz pierwszy. Kilkanaście razy dziennie go jej uśmiercałaś. Prosiłem Cię, żebyś przestała, a babcię uspokajałem, mówiąc, że żartowałaś. A Ty dalej swoje, żeby przestała wreszcie „idiociec i się wydurniać”, bo ją zamkną do Tworek. I jakby tego było mało, znów dodawałaś:

– Wiesiek od dawna leży w grobie!

Faktycznie, babcia czasem „idiociała”. Ale kto wie, co wtedy działo się w jej głowie, jak odbierała rzeczywistość. Może widziała o wiele więcej niż my. Nakryłem ją pewnego razu, gdy siedziała przy stole z postawionym naprzeciwko siebie ulubionym fioletowym misiem – wielką, pluszową maskotką, którą dostałem kiedyś na urodziny.

– Babciu, zobacz jak ten miś na Ciebie patrzy – zażartowałem. – Wpadłaś mu w oko, nie odwraca od Ciebie wzroku.

– Widzi – odpowiedziała z poważną miną, wyraźnie akcentując każdą sylabę. – I słyszy – dodała do chwili.

To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem. Jakiś czas później dostała wylewu. Aż do śmierci nie odezwała się więcej.

Zdarzało się jednak, że wcześniej przejawiała przebłyśki świadomości. Czasem zastanawiałem się, na ile tylko udaje wariatkę, a na ile rzeczywiście dopadła ją demencja. Bywały bowiem dni, kiedy zachowywała się, jakby specjalnie chciała Cię zdenerwować, rozsierdzić. Pamiętam jeden wieczór, kiedy siedzieliśmy w dużym pokoju i oglądaliśmy telewizyjne wiadomości. Wyszłaś na chwilę do kuchni, a babcia spojrzała na mnie i z perfidnie tryumfującym wyrazem twarzy wyszeptła w konspiracyjnym spoufaleniu:

– Podkurwię ją. – Po czym spoglądając w stronę drzwi, krzyknęła: – Idę do domu!

Wyczuwałem w tym w dużym stopniu świadomie prowadzoną walkę. Wzajemne animozje, ukrywane pretensje, zasiedziały żale. Babcia była z natury złośliwa. Zupełnie otwarcie okazywała uczucia, nie szczędziła szyderczych czy wręcz bluźnierczych uwag podczas rodzinnych spotkań, a im była starsza, tym były one zjadliwsze.

Przekleństwa pojawiały się w jej ustach równie często jak „niech będzie pochwalony”, „amen” i „szczęść Boże”.

A jednak, gdy dostała wylewu i stała się, według popularnego, choć dość okrutnego określenia, warzywem, ciałem-skorupą o nieokreślonej zawartości, opiekowałaś się nią, troszczyłaś, karmiłaś, przewijałaś, traktowałaś jak ukochane dziecko. Trwało to ponad dwa lata, choć lekarz w szpitalu dawał babci maksymalnie kilka tygodni życia.

Byłem wtedy w Polsce, dopiero co wróciłem z Kolumbii, pomieszkowałem w Warszawie. Zadzwoeniłaś po południu i powiedziałaś, że babcię zabrało pogotowie. Spotkaliśmy się w jednym ze stołecznych szpitali. Babcia leżała w kilkuosobowej sali. Pod kropłówką, przykryta lekką kołdrą, wyglądała jakby skurczyła się o połowę. W oczach miała strach, podobny do tego, jaki kilka lat później zobaczyłem w Twoich. Milczała, my razem z nią, a w tym wspólnym milczeniu jeszcze bardziej karłowaciała, znikiała.

Na spotkanie z lekarzem czekaliśmy kilka godzin.

– Pani Janina jest częściowo sparaliżowana i będzie wymagała opieki paliatywnej – poinformował doktor, kiedy w końcu poprosił nas do gabinetu. – Do pełnego zdrowia nigdy nie wróci. Pożyje miesiąc, najwyżej dwa, nie więcej.

Nie martw się, Mamo, nic się nie stało, taka kolej rzeczy, chodź się przytulić, nic już nie mów, nie płacz, nie słuchaj tego doktora, który na co dzień na pewno nie jest aż tak arogancki i oschły, w końcu jest lekarzem, praktykującym, z tytułem profesora, nie może więc jednocześnie zachowywać się jak cham, to się wyklucza, nie inaczej. On tylko tak niechcący się uniósł, zdenerwował i na pewno nie na Ciebie ani nie na mnie, choć z boku

mogłoby się tak wydawać. Może zezłościły go upał, duszny pokój, brak czasu, zbyt wiele obowiązków, niska pensja, zrzędliva żona, niesforne dzieci w domu, pęczniejące przed szesnastą na ulicach korki albo zepsuty samochód i perspektywa powrotu zatłoczoną komunikacją miejską... Powody można by mnożyć, kto wie, ile innych eksplodujących wkurwem bomb tykało w jego głowie, a my zabieramy mu tylko czas i jeszcze bardziej go podminowujemy, wypominając lekarską niemoc, bo przecież babcia wygląda już jak warzywo, wielkie, tłuste, nieme warzywo, i choć niejadalne, nadpsute, to wyrzucić się go nie da, trzeba przetrzymać, a najlepiej dokładnie gdzieś schować, tak aby nikomu nie przeszkadzało, nie śmierdziało i spokojnie poczekać, aż w końcu samo obumrze, zamilknie, zniknie.

– Jak pani sobie to wyobraża?! – niemal wykrzyknął, usłyszawszy, że może lepszą opiekę Twoja mama miałyby w domu. – Wykluczone! Pacjentka ma dużą nadwagę, kto ją będzie dźwigał? Potrzebna byłaby specjalistyczna aparatura i przynajmniej dwie osoby do pomocy. Zresztą pani też ma nadwagę. Dam wam numery telefonów kilku ośrodków, z którymi współpracujemy. Zadzwońcie tam, może mają wolne miejsca. Co, jeśli nie? Proszę pani, naprawdę, proszę mi nie zawracać głowy takimi sprawami, ja się nie zajmuję opieką paliatywną, nie jestem od rozmieszczania pacjentów po przytułkach, proszę zadzwonić pod te numery i sprawdzić. Przepraszam, muszę już wyjść, przerwa mi ucieka, do widzenia.

Ośrodki nie miały wolnych miejsc. Wybraliśmy więc na chybił trafił prywatny dom opieki pod Warszawą. Początkowo wydawał się odpowiedni: całodobowa obecność pielęgniarki, przestronne

pokoje, miła obsługa, duży ogród i cicha okolica. Ale po kilku wizytach zmieniliśmy zdanie. Choć nalegaliśmy na przeniesienie babci do dwuosobowego, lepiej wentylowanego pokoju, wciąż przebywała w czteroosobowej, małej, dusznej sali na poddaszu budynku. Nie było mowy o wychodzeniu do ogrodu, bowiem dom nie miał windy. Z trzeciego piętra trzeba by znosić wózek po schodach. Oczywiście, byłoby to do zrobienia, ale – jak się okazało – osoby ulokowane na piętrach z założenia nie były wyprowadzane na zewnątrz. Częściowo sparaliżowana babcia potrzebowałaby zresztą odpowiednio przystosowanego wózka.

Postanowiłaś zabrać swoją mamę do Trąbek, do mieszkania w bloku. W islandzkim filmie *Wulkan* w reżyserii Rúnara Rúnarssona starszy mężczyzna wypisuje żonę po udarze mózgu ze szpitala, aby troszczyć się o nią w domu aż do jej śmierci. Podobną sytuację mamy w *Miłości* Hanekego. Oba te filmy kończą się ukróceniem męki kochanej osoby poprzez jej uduszenie. Babci nie musiałaś dusić, podobno nie cierpiała, tak przynajmniej twierdziła lekarka. Wbrew temu, co mówił doktor w szpitalu, żyła jeszcze ponad dwa lata. Początkowo wszyscy pukali się w głowę. Ja, koleżanki, o lekarzach nie wspominając. Z minimalną pomocą, właściwie wszystko wokół babci robiłaś sama: przygotowywanie posiłków, karmienie, mycie, zmienianie pampersów, pranie, sprzątanie. Widziałem, ile Cię to kosztowało, ile wyrzeczeń i własnego zdrowia. A jednak wydawało mi się, że w całym tym trudzie odzyskałaś spokój. Co więcej, sprawiałaś wrażenie zadowolonej. Może po prostu czułaś się komuś potrzebna. Usensowniłaś swoje, a przy okazji babcine dni. Twoja troska warunkowała wasze relacje, do tego jeszcze na Twoich zasadach. Teraz Ty decydowałaś

o wszystkim – o rodzajach posiłków, o wielkości porcji, o przewijaniu, o programach, jakie wyświetlał stojący obok łóżka telewizor, a nawet o porze dnia, bo to Ty zapalałaś światło w pokoju i je gasiłaś. Nie musiałaś już więcej znosić babcinych kaprysów i fobii, nie musiałaś słuchać niezycliwych słów, gróźb pod swoim adresem i deklaracji o spakowanych walizkach i powrotach do domu. Nie musiałaś martwić się, że odkręci gaz, trapić, że wyjdzie z domu i się zgubi, denerwować, że nie wzięła lekarstw albo wyrzuciła je za okno, że rozpruje pierzynę i zrobi kupę nie tam, gdzie trzeba, że pomyli różaniec z winogronem i zje drewniane koraliki, przez co trzeba ją będzie wieźć do szpitala (z którego ucieknie w samej koszuli i poparaduje nocą w tej zwiewnej kreacji po drodze szybkiego ruchu), albo że przyniesie wstyd podczas kolędy.

Z jakiegoś powodu sama nie mogłaś być tego dnia obecna i poprosiłaś mnie, abym przyjechał i pomógł. Założyłaś, że babcia nie ogarnie wizyty jak należy. Na wszelki wypadek o pomoc zwróciłaś się też do jej bratowej. Do mnie w tej kwestii – i słusznie – nie miałaś zaufania. Mój stosunek do jakiegokolwiek formy zinstytucjonalizowanej religii ewoluował na przestrzeni lat od względnie zainteresowania do całkowitej obojętności. To prawda, że będąc dzieckiem i nastolatkiem, służyłem do mszy jako ministrant, ale powody, dla których poświęcałem wiele godzin na chodzenie do kościoła (nie tylko w niedziele, ale również w dni powszednie), były dalekie od religijnych. Najistotniejszym była potrzeba bycia wyróżnionym, zauważonym, docenionym, a czytając Pismo Święte z ambony czy okadzając kadzidłem monstrancję w czasie religijnych uroczystości, tej uwagi otrzymywałem aż nadto. Chodziłem na msze także dlatego, że grałem w scholi na gitarze i sprawiało mi

to radość. Nie bez znaczenia był też fakt, że w parafii w Trąbkach mieliśmy wielu dobrych duchownych, zaangażowanych w posługę, przyjacielskich, pomocnych i po prostu życzliwych.

Pomimo tego „obycia” z kościołem i przyjacielskich niemal relacji z niektórymi księżmi duszpasterskie wizyty w domu od zawsze mnie krępowały – możliwe, że z racji konieczności przyjmowania postawy pełnej sztucznej powagi, zwierzenia się z wypełnionych deklaracji pokuty po ostatniej spowiedzi czy całowania stopy na „niech będzie pochwalony” i „szczęść Boże”. Nawet gdy czasem odwiedzał nas zaprzyjaźniony ksiądz, w którego obecności mogłem zachowywać się nieco swobodniej, i tak to odgrywanie roli grzecznego i ułożonego chłopczyka było mocno deprymujące.

Skoro jednak obiecałem wywiązać się z powierzonego zadania, umówionego dnia przyjechałem z Warszawy, aby przyjąć księdza.

– Proszę, niech ksiądz wejdzie. – Wskazałem dłonią otwarte drzwi do dużego pokoju, gdzie siedziały już babcia z bratową. Okazało się, że w zasadzie mogłem zostać w stolicy, bowiem ciocia wszystko doskonale przygotowała. Rozłożyła na stole nowy, wykrochmalony obrus, na nim krzyż, Pismo Święte, kropidło ze święconą wodą i świecznik, pod którym babcia schowała kilka złożonych banknotów.

Proboszcz zajął przygotowany dla niego fotel, po czym wyjął notatnik i zwróciwszy się do mnie, zapytał:

- Pan tu mieszka?
- Nie, wpadłem tylko z gościnną.
- A, to pani jest mamą? – zapytał bratową babci.

– Nie, ja tu nie mieszkam, przyszłam pomóc, mieszkam za ulicą.

– Aha, czyli pani tu mieszka? – zwrócił się do babci, która od pierwszej chwili świdrowała go wzrokiem, jakby rozpoznała w nim kogoś, kogo szczerze i otwarcie nie lubiła.

– A gdzie tam, nigdy w życiu! – Babcia nagle się ożywiła. – Za żadne skarby bym tu nie chciała mieszkać, nie grzeją, ciemno i głodna siedzę. Przyszłam na chwilę, zaraz idę do domu.

– To kto tu właściwie mieszka? – z lekką konsternacją ksiądz zwrócił się do mnie.

Opowiedziałem Ci potem całe zdarzenie, choć i tak nie zdradziłem wszystkiego. Nie wyglądałaś na zachwyconą. Wstyd trochę było przed księdzem, to prawda, ale z drugiej strony – nic wielkiego się przecież nie stało, a babcię usprawiedliwiała demencja.

– Nie pamięta, nie pamięta. Już ja wiem, kiedy ona pamięta, a kiedy nie! – ciągnęłaś w zapamiętaniu, gdy prosiłem, byś przestała jej czynić zarzuty, tym bardziej że spojrzenie babci ewidentnie świadczyło, iż kompletnie nie rozumie, o co Ci chodzi, i nie poczuwa się do żadnej winy.

– A ty przestań tyle w książkach siedzieć, bo będziesz niedługo jak ona. I weź się wreszcie za porządną pracę!

– Mamo, ale ja przecież zarabiam.

– Zarabiasz, ale jak? Ile tego nazarabiasz? Ja nawet nie wiem, czy uczciwie. Jak mnie na ławce kto pyta, to nie wiem, co mam odpowiedzieć. Miałaś dobrą pracę, to rzuciłaś. A teraz co? Jeździsz, wozisz te książki, targasz w plecaku, samochodu nie masz, prawa jazdy nie masz, a mówiłam ci tyle razy, żebyś zrobił, nie przydałoby się? Przydało. Samochód byś kupił i tak się nie męczył.

Sąsiadka już drugi ma. Mnie byś czasem gdzieś zawiózł. Ale nie, ty zawsze wiesz lepiej, zawsze mądrzejszy. Książki i książki! Tyle razy mówiłam, radziłam. Jeździsz z tym plecakiem, jak wielbłąd, umordujesz się tylko i co? Tyle się uczyłeś i gówno z tego masz.

Trafiłaś idealnie. Chyba nigdy nic mnie tak nie zabolalo jak tamte słowa. Nigdy. Nawet lanie tak nie bolało, a raz w życiu porządnie od Ciebie dostałem, grubym pasem z metalową szlufką. Chodziłem wtedy do czwartej klasy podstawówki. Nie mam Ci tego za złe, należało mi się. Gdybym mógł, sam bym się wtedy wybatożył.

Pewnego dnia, gdy kąpałem się w stawie, ktoś zwinął mi pozostawione na brzegu ubranie i buty. Kilka tygodni wcześniej w tym samym miejscu utopił się mój kolega. To był mały staw, niezbyt głęboki, zwany w okolicy żwirownią, latem oblegany nie tylko przez dzieci. Czasem poły się w nim krowy, zdarzało się więc, że ktoś wdepnął w krowi placek albo rozciął nogę na szkło, ale nie zmniejszało to jego popularności. Wiedziałaś, że często tam bywałem, ale po wypadku kolegi prosiłaś, abym nigdy więcej nad ten staw nie chodził. Obiecałem, że nie będę, ale nie dotrzymałem słowa.

Wróciłem wtedy do domu w samych slipkach.

– Grałem w piłkę na boisku i ukradli mi ciuchy – odpowiedziałem na pytanie, dlaczego jestem bez ubrań.

Zdziwiło Cię to, bo niby po co rozbierałem się prawie do rosołu i dlaczego biegałem bez butów? Tłumaczyłem, że było gorąco i koledzy też biegali na bosaka. W domu trwała akurat jakaś impreza. Zostawiłaś gości i poszłaś ze mną na boisko. Obeszliśmy je kilkakrotnie i oczywiście niczego nie znaleźliśmy, kazałaś mi więc

szukać w przylegających do boiska wysokich krzakach. Ciągle pytałaś, gdzie zostawiłem rzeczy, w którym miejscu, a ja powtarzałem na okrągło, że dokładnie nie pamiętam.

Dlaczego tak Ci zależało? Pal licha koszulkę i spodenki, największy problem był z butami, dopiero co kupionymi na moje urodziny na słynnym i popularnym wówczas bazarze Różyckiego w Warszawie. Były to podróbki adidasów, ale i tak stanowiły powód do ogromnej dumy. Wiedziałem, że dużo kosztowały, a poza tym butów nie kupowało się co roku – jedna para musiała wystarczyć na kilka lat. Smutno mi było z powodu ich utraty i potwornie głupio. Chodziłaś ze mną wokół boiska z dobrą godzinę albo i dłużej. Tak skrupulatnie wszędzie zaglądałaś, pod krzaki, pod ławki, zupełnie niepotrzebnie i na darmo...

Kilka dni później znów wybrałem się nad staw. Skąd wiedziałas, że tam jestem, nie mam pojęcia. Przyjechałaś na rowerze. Zauważyłem Cię z wody, nie miałem szans się schować, zresztą w okolicy i tak nie było żadnych drzew czy innego rodzaju kryjówek. Wyszedłem na plażę, wspiąłem po niewielkim osuwisku i podszedłem bliżej. Najpierw spojrzałem na umocowany na bagażniku gruby pas, potem na Ciebie.

– Do domu – wycedziłaś głośno dwa słowa.

Nie uderzyłaś mnie przy kolegach, to byłoby zbyt proste, zbyt przewidywalne, ból przyszedłby za wcześnie i równie szybko minął. Odraczając wymierzenie kary, dodałaś emocjom intensywności. Wracaliśmy razem, Ty pierwsza, ja za Tobą. Pedalowałaś powoli, bardzo powoli, nic więcej w drodze nie mówiąc, nie odwracając się do mnie ani razu. Jechałem w bliskiej odległości za Tobą i patrzyłem na bagażnik. Coś mnie zgniatało w środku, palił

mnie wstyd, rozchodził się po całym ciele jak narastający ból, który pojawił się, zanim jeszcze zdążyłaś mnie dotknąć.

Zaraz po zamknięciu drzwi wejściowych przyłałaś mi tak solidnie, że prawie zemdlałem. Byłaś jak w transie, mówiłaś, że to za kłamstwo, za zgubione buty, za zmarnowane pieniądze, za popsutą imprezę, za wstyd, którego się za mnie najadłaś, za Bóg wie co jeszcze, bo w pewnym momencie już niczego nie słyszałem, tylko czułem. Czułem Twoje słowa i spadające razy skórzanym pasem z metalową sprzączką. Powtórzyłaś później, że to za kłamstwo. Że matce się nie kłamie. Ale ja myślę, że to ze strachu tak mnie zbiłaś – ze strachu, że mogłem się utopić w tym stawie tak jak kolega.

Później już nigdy mnie nie uderzyłaś. Wcześniej też nigdy nie dostałem. Nawet wtedy, kiedy powybyjałem szyby w budynku należącym do huty szkła, kiedy biegałem po dachach bloków i zrzuciłem z nich napelnione wodą kondony na przechodzące nie lubiane sąsiadki, kiedy podkładałem na torach kamienie pod ruskie pociągi ani gdy spowodowałem wypadek na drodze. Z tym ostatnim miałem naprawdę dużo szczęścia, bo samochód nie uderzył we mnie, tylko w stojące na poboczu inne auto. Miałem siedem lat, dopiero co zacząłem podstawówkę. Wyjechałem wtedy na drogę, nie rozjeżdżawszy się w żadną ze stron, prosto pod koła nadjeżdżającej osobówki. Kierowca wykazał się refleksem, a może po prostu nie jechał zbyt szybko. Przestraszyłem się mocno, bo wypadek wyglądał poważnie. Wróciłem do domu i zamknąłem się w swoim pokoju. Jacyś obcy ludzie przyszli po godzinie, może dwóch.

– Od dziś koniec z rowerem – powiedziałaś kategorycznie, kiedy już wszyscy wyszli.

Rower przeleżał kilka lat zamknięty w piwnicy. Ale ja i tak jeździłem. Dziadek pożyczał mi swoją Ukrainę, oczywiście w tajemnicy. Myślę, że wiedziałaś, że jeżdżę, ale nic nie mówiłaś, tylko udawałaś, że nie wiesz. Nawet za podpalony śmietnik nie dostałem, choć przecież się przyznałem.

Nie wiem czemu, ale od dziecka lubiłem grzebać w śmieciach. Te osiedlowe śmietniki były solidne, ceglane. Wtedy jeszcze ich nie zamykano, wchodził, kto chciał – ludzie, bezpańskie psy, piwniczne koty. Cztery ściany przykryte blachą falistą wypełniały sterty fantów. W tamtych czasach nikt nie mówił o segregacji i utylizacji śmieci, po prostu w naturalny sposób się zbierało i wykorzystywało wszystko, co mogło się jeszcze przydać. Skórki owoców były doskonałym dodatkiem do ciast, obierki z ziemniaków dawało się świniom, kości psom, gotowało się tyle, aby od razu zjeść, a jeśli coś zostało, dojadano się następnego dnia. W domu robiło się sery czy makarony, nie mówiąc już o całej gamie dżemów, powideł, sałatek i wekowanych na zimę warzyw. Plastyku było stosunkowo mało, a słoiki, butelki i najróżniejsze opakowania wykorzystywało się latami. Śmietniki najczęściej wypełniały przeróżne szmaty, znoszone do cna ubrania, potłuczona ceramika, rzadko jedzenie, no i wata.

Nie pamiętam, ile dokładnie miałem wtedy lat, ale myślę, że to była druga albo trzecia klasa podstawówki, nie później. Było gorąco, więc najprawdopodobniej zdarzyło się to w wakacje. Do śmietnika zaciągnąłem kolegę. Grzebaliśmy razem w śmieciach, aż nagle kumpel wyciągnął pokrzwawioną watę i mówi, że tak się robi dzieci. O prokreacji w tamtym czasie nie wiedziałem właściwie nic. Jak dla mnie dzieci rosły w brzuchu i potem w jakiś nadzwyczajny

sposób wydostawały się z niego na zewnątrz. Dziewczęce narządy płciowe już widziałem, ale za nic w świecie nie przyszłoby mi do głowy łączyć ten element anatomii z „robieniem dzieci”. Obrazki porno też już oglądałem, pokazała mi je kiedyś w tajemnicy o rok starsza koleżanka, mówiąc, że się na nich „ruchają”, ale na czym tak naprawdę to „ruchanie” polegało – nie miałem zielonego pojęcia. Przez kilka kolejnych lat prokreacja miała mi się kojarzyć z krwią.

Chciałem się dopytać, o co chodzi z tą watą, ale kumpel chyba też nie do końca wiedział, bo nagle zmienił temat i stwierdził, że jak się ją poleje benzyną i podpali, to strzela i wygląda jak fajerwerki. Skąd wzięliśmy benzynę, nie pamiętam, pewnie z garażu jego taty. Z zapalkami było łatwiej, w naszym domu zawsze kilka paczek leżało w kuchni, gdzie służyły do rozpalania kuchenki gazowej. Podbierałem je często, nigdy nikt niczego nie zauważył.

Wata paliła się kiepsko. Byłem rozczarowany. Białe kłębki topiły się, nie chciały zająć, ale za to ogień zaczął bardzo szybko rozprzestrzeniać się po całym śmietniku. Hajcowało się pięknie, zdecydowanie zbyt mocno. Próbowaliśmy ugasić z każdą chwilą powiększające się płomienie, ale było już za późno.

– Wiejemy! – krzyknąłem wreszcie.

W domu babcia szykowała obiad. Dość szybko zauważyła widoczne z kuchennego okna ogień i dym.

– Znów te bachory śmietnik podpaliły. Nie mają co robić, cholery jedno. Słuchu nie znają, jebu ich mać. Wpierdoliłabym jednemu i drugiemu, to by się oduczły. Cały fetor do domu idzie.

Jadłem zupę, kiedy gruchnęło pierwszy raz. Porządnie, zniecka. Podbiegliśmy oboje do okna, gdy lupnęło ponownie, aż się szyby zatrzęsły.

– Ło Jezu, ale jebnęło! – wrzasnęła babcia. – Odyjdz, odyjdz, odsuń się, bo jeszcze szyby wylecum!

Straż pożarna przyjechała dość szybko. Zrobiło się zbiegowisko, było jeszcze widno, z okna widziałem kolegów z klasy. Też chciałem iść na zewnątrz popatrzeć, ale akurat przyszłaś z pracy i zabroniłaś mi wychodzić. Dość mocno się wtedy przestraszyłem, byłem pewien, że i tak się wyda, kto podpalił, więc założyłem, że lepiej się przyznać. Powiedziałem od razu, zaraz u progu, jak weszłaś do kuchni. A Ty się tylko w głowę puknęłaś i tyle. Może nie chciałaś uwierzyć. Podświadomie zanegowałaś. Żeby nie musieć znów mi przylać.

Aż tu raptem te słowa o studiach. Raz w życiu Ci je przypomniałem, całkiem niedawno, w czasie pandemii, gdy przeniosłem się do Trąbek z Krakowa. Leżałem na wersalce, płakałem bezgłośnie, a Ty podeszłaś do mnie i zaczęłaś mówić, że tak wiele osiągnąłem i powinienem się cieszyć z tego, co mam. Że nie mam powodu do płaczu, że tyle świata widziałem, tyle szkół ukończyłem. I sam nie wiem dlaczego, co we mnie wstąpiło, ale przypomniałem Ci tamte słowa. Że z moich studiów nic, tylko gównno. Zaczęłaś się tłumaczyć w tak szczerze rozbijająco-przepraszający sposób, że aż zrobiło mi się głupio. Sam zacząłem Cię przeproszać. Może wcale tak nie myślałaś. Nigdy. Wyrwało Ci się raz i już, w nerwach, a ja wziąłem to zupełnie na poważnie. Tyle że Ty chyba miałaś rację, Mamo...

Kup książkę

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

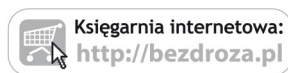
GRUPA
Helion

„Kochana Mamo, gdy będę duży, to Ci przywiozę wielbłąda z podróży” — choć dorosłemu Piotrowi nie udało się spełnić obietnicy złożonej na laurce przez siedmioletniego Piotrusia, Mama pozostała najbliższą mu osobą. Jego nowa książka to intymny dziennik kolejnych etapów choroby matki i żałoby syna. Układając mozaikę wspomnień, autor tworzy obraz ich relacji, bardzo bliskiej, ciepłej, nie tak ulotnej jak powidoki, bardziej przyziemnej niż zaistnienia — a przecież i tak rozpiętej między nieobecnościami, znaczonej przeoczeniami, podszytej tęsknotą za tym, co niewypowiedziane i nieprzeżyte do końca.

Piotr Strzeżysz po raz kolejny zaprasza też Czytelników w podróż — nie w przestrzeni jednak, a w czasie, do swojego dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy większość marzeń tak łatwo było spełnić. Słodko-gorzkie szkice z prowincji okresu komunistycznych ograniczeń, nostalgiczne anegdoty, pełne humoru sceny z zupełnie innych niż dziś realiów, pierwsze niespełnienia nieuniknionej dorosłości, no i... od prawie zawsze obecny w jego życiu rower.

Wracałem ze szkoły do domu, zjadałem talerz pomidorowej albo krupniku, a zaraz potem wsiadałem na rower i jechałem, wcale nie aż tak daleko jak teraz, wystarczyło kilka, kilkanaście kilometrów. Pedałowałem przed siebie w dziką, obezwładniającą desperacją i tak bardzo chciałem, żeby to się nigdy nie skończyło, ta jazda, ta młodość, ten bez troski stan. Odsuwałem dorosłość jak niechciane towarzystwo, odpychałem jak talerz z zawieszistą, śmierdzącą kaszą na mleku. Jechałem przed siebie i nie chciałem wracać, nieważne, czy w deszczu, upale, czy pod silny wiatr. Kiedy się zmęczyłem, kładłem się na ziemi, na mchu i patrzyłem w niebo, na wierzchołki drzew, a czas upływał nicnierobieniem, milczeniem, aż wreszcie robiło się zimniej, ciemniej, o wiele później od zwyczajowej godziny powrotu. Wracałem do domu po starych śladach, klucząc jak pies, na węch, na pamięć, na zew, a Ty już tam czekałaś, Mamo, niespokojna, a może tylko udająca troskę, strasząc, że kiedyś się doigram i porwą mnie w lesie Cyganie albo czarna Wołga wywiezie mnie na Sybir.

(fragment książki)



 **Bezdroża**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-8322-416-9



Cena: 39,90 zł